

Czarna Wołga krąży po Londynie

15 czerwca 2013

170 lat temu po Londynie biegał facet ze sprężynami ukrytymi w obcasach, tajna linia metra, która na początku XX wieku wywoziła trupy ze szpitala, wznowiła swoją działalność, a gdzieś w Yorkshire masowo kradli psy. Jak się okazuje, opowiadanie miejskich legend to jedno z ulubionych zajęć Brytyjczyków. Historie nie muszą być prawdziwe. Wystarczy, że będą ciekawe.

Jeśli zdarzyło Ci się już kiedyś wysłuchać tej historii, zapewne zaczynała się od zdania: „Opowiadał mi to znajomy, który studiuje razem z dziewczyną, o której mowa”. Cała rzecz dzieje się w jednej z linii londyńskiego metra w późnych godzinach wieczornych. Młoda studentka wraca samotnie do domu. W pewnym momencie do pustego niemal wagonu, w którym oprócz niej siedzi tylko jeden nieznajomy facet, wchodzi trzy dziwnie wyglądające osoby. Dwóch mężczyzn nawet na chwilę nie odstępuje znajdującej się pomiędzy nimi kobiety. Siadają naprzeciwko studentki. Ponieważ cała trójka wygląda na narkomanów, dziewczyna za wszelką cenę stara się unikać kontaktu wzrokowego. Wszyscy jadą w milczeniu przez kilka stacji. W pewnym momencie wspomniany już samotny jegomość siada obok studentki i zaczyna z nią rozmawiać, tak jakby znali się od lat.

W tym samym czasie szepcze jej na ucho: „Wysiadaj na następnej stacji”. Dziewczyna w żadnym razie nie ma zamiaru zostawać sam na sam z dziwnie wyglądającą trójką, więc robi tak, jak jej mówi nieznajomy. Dopiero na peronie dowiaduje się, że jej wybawca w odróżnieniu od niej uważnie przyglądał się trójce i zauważył, że mężczyźni, trzymając znajdującą się między sobą kobietę, wciągnęli ją do wagonu. Z jej karku sterczały wbite z ogromną siłą nożyczki. Nie było innego wyjścia. Kobieta

musiała być martwa.

Jeśli uwierzyliście opowiadającej ją osobie, mam dla Was przykrą wiadomość: jest to jedna z najpopularniejszych miejskich legend w Wielkiej Brytanii. Najsłynniejsza polska odmiana tego typu narracji to oczywiście historia o czarnej wołdze, w której czeluściach już w latach 60. znikwały dzieci. Według różnych wersji jej załogę mieli stanowić agenci bezpieczeństwa, sataniści, a nawet siostry zakonne. Z czasem wołgę zastąpiło znacznie wygodniejsze BMW. W 1999 r. samochód wywołał panikę wśród mieszkańców Ostrowa Wielkopolskiego. Dwa lata później widywano go pod Siedlcami, w Tarnobrzegu i Stalowej Woli. Przez cały czas legenda obrastała w nowe szczegóły. Maszyna miała być pozbawiona klamek, a zamiast lusterek mieć przytroczone rogi. Jej kierowca z kolei z wyglądu przypominał skinheada. Na nic też zdawały się zapewnienia lokalnych władz, że historia nie jest prawdziwa. W Ostrowie policjanci odwiedzali kolejno wszystkie szkoły i cierpliwie dementowali plotkę. Rodzice jednak w dalszym ciągu wiedzieli swoje i nie chcieli posyłać dzieci bez opieki na lekcje.

Zanim jednak ostatecznie zwątpimy w zdolność ostrowian do trzeźwej oceny sytuacji, przyjrzyjmy się wcześniej naszym brytyjskim gospodarzom. Jak się bowiem okazuje, to właśnie Wyspy stały się dla miejskich legend niezwykle gościnnym miejscem, a ich mieszkańcy wprost uwielbiają przekazywać sobie różnego rodzaju niesamowite historie.

POCIĄG PEŁEN CIAŁ

Termin „urban legend” powstał w latach 1980. w głowie profesora języka angielskiego z University of Utah Jana Bruvnanda. Według jego definicji miejska legenda to pozornie prawdopodobna informacja, która budzi wielkie emocje u odbiorców i prowokuje ich do komentarzy oraz dalszego jej przekazywania. Samo zjawisko jest oczywiście stare jak świat, a najlepszym na to dowodem może być rozebrana na czynniki

pierwsze przez twórców strony internetowej snopes.com historia o znikającym autostopowiczu. W jej najnowszej wersji kierowca zatrzymuje się na autostradzie, żeby podwieźć samotną dziewczynę. W trakcie jazdy pasażerka znika. Kiedy kierowca dociera pod wskazany przez nią adres, dowiaduje się od wciąż mieszkającej tam rodziny, że dziewczyna nie żyje już od kilku lat. Jak się okazuje, prototyp mitu można znaleźć już w Nowym Testamencie. Tam jednak zamiast samochodu jest rydwan, a zamiast autostopowicza Filip Apostoł, który w trakcie jazdy chrzci etiopskiego woźnicę i oczywiście znika. Opartą na podobnym schemacie historię opowiadali sobie na długo przed nastaniem ery benzyny europejscy wozacy. W pierwszej połowie XX wieku legenda trafiła do Stanów Zjednoczonych, a na Hawajach tajemniczym autostopowiczem jest nie kto inny jak sam bóg wulkanów Pele.

Jedną z najlepiej udokumentowanych angielskich urban legends jest wiktoriańska historia o Spring Heeled Jacku. Tajemniczy, charakteryzujący się diabolicznym wyglądem osobnik swój przydomek zawdzięczał sprężynom, które miał mieć zamontowane w obcasach i które miały mu umożliwiać skoki przez nawet kilkumetrowej wysokości płoty. Dzięki temu mógł znienacka atakować niczego niespodziewające się niewiasty, drzeć na nich ubrania i czynić inne bezecneństwa. W roku 1838 historia wywołała wśród mieszkańców Londynu taki popłoch, że ówczesny burmistrz sir John Cowan wyznaczył nagrodę o zawrotnej wysokości 5 tys. funtów dla każdego, kto będzie w stanie ją wyjaśnić. Jak się można było tego spodziewać, pieniędzy nie dostał nikt, a sprężynopięty Jack straszył jeszcze do późnych lat 1970. i to w dodatku w coraz bardziej odległych rejonach Zjednoczonego Królestwa.

Trzeba zresztą przyznać, że przeludniony, pełen biedoty i trawiony chorobami wiktoriański Londyn był miejscem jak mało które nadającym się do snucia mrocznych opowieści. W pierwszej dekadzie XX wieku mieszkańcy miasta opowiadali sobie na ucho, że pomiędzy Royal London Hospital a stacją metra Whitechapel

znajduje się tajny tunel. W kursujących tam pociągach miało nie być ani jednego pasażera. W każdym razie żadnego żywego. Składy miały służyć do transportu ciał zmarłych w szpitalu pacjentów. Gdzie trupy miały trafiać, tego nie wiedział już nikt.

W 2005 r. historię o „Dead Body Train” przypomniał w filmie dokumentalnym „Ghosts of the London Underground” Chanel 5. W tym czasie dokument nie wywarł jednak na nikim zbyt wielkiego wrażenia. Rzeczy zaczęły się zmieniać kilka lat później, już po pęknięciu bańki kredytowej i po tym, jak rząd Davida Camerona zaczął wprowadzać zmiany w nazbyt rozbudowanym systemie pomocy społecznej. Jesienią 2011 r. ktoś wspomniany film odnalazł na YouTube i niemal natychmiast na forach internetowych rozgorzała na jego temat dyskusja. Niektórzy z jej uczestników twierdzili nawet, że słyszeli, iż pełen trupów pociąg kursuje w dalszym ciągu.

DAVID BOWIE Z ODZYSKU

Ofiarami miejskich legend od lat padają również gwiazdy show-biznesu. W Polsce słynna była swego czasu historia uśmiercenia Bartosza Żukowskiego, czyli Waldusia z popularnego sitcomu „Świat według Kiepskich”. W Wielkiej Brytanii wiele lat wcześniej taki sam los spotkał Paula McCartneya, a dowodem w sprawie miało być słynne zdjęcie z przejścia na Abbey Road. Jako jedyny z czwórki Beatlesów McCartney nie ma na nim butów i ten jeden fakt wystarczył, żeby tysiące fanów zaczęły opłakiwać muzyka.

Jeszcze ciekawiej przedstawia się historia, jaką przez lata przekazywali sobie z ust do ust miłośnicy twórczości Davida Bowie. Według tej legendy artysta nie jest tym, za kogo się podaje. Tak naprawdę jest to urodzony w Manchesterze wokalista amerykańskiej grupy poprockowej The Monkees Davy Jones, który po wypadku samochodowym przeszedł operację plastyczną.

Zabieg musiał być naprawdę skomplikowany, albowiem pacjentowi

przybyło po nim jakieś kilkanaście centymetrów wzrostu. W dodatku lekarzom musiało pozostać trochę niewykorzystanych części, skoro Jones w dalszym ciągu występował pod swoim własnym nazwiskiem i ze swoją własną twarzą. Zmarł dopiero w 2012 r. na atak serca. Nieco światła na pochodzenie tej teorii rzuca fakt, że urodzony na Brixton Bowie swój pierwszy w życiu koncert zagrał pod prawdziwym, odziedziczonym po rodzicach nazwiskiem, a brzmi ono... David Jones. Dopiero coraz bardziej rozwijająca się kariera The Monkees skłoniła go do wymyślenia sobie pseudonimu. Po prostu nie chciał być mylony ze swoim niezbyt utalentowanym wokalnie imiennikiem.

PORYWACZE PSÓW

Świat oczywiście nieuchronnie posuwa się do przodu i obecnie miejskie legendy znalazły dla siebie środowisko, w którym rozchodzić się mogą w znacznie szybszym tempie, niż to miało miejsce w przypadku przekazywania sobie informacji z ust do ust. Mowa tu oczywiście o internecie. Kiedy przeglądamy Facebooka, co jakiś czas trafiamy na posty przekopiwane przez znajomych od kogoś innego. W ten właśnie sposób po świecie rozprzestrzeniła się historia o rasistowskiej pasażerce British Airways, która nie chciała siedzieć obok czarnoskórego. Jak wszyscy wiemy, jej sąsiad dostał w ramach rekompensaty miejsce w business class, a sama pani musiała się obejść wstydem.

Część z tych historii to tak zwane farmy fanów. Ich właściciele udostępniając rzewne, chwytające za serce historie, zbierają możliwie największą liczbę lajków, by potem odsprzedać je z odpowiednim zyskiem. Niektóre z nich to jednak najprawdziwsze ucyfrowione miejskie legendy. W marcu tego roku mieszkańcy Irlandii Północnej przesyłali sobie w internecie list następującej treści:

„Właściciele psów, uważajcie na osoby roznoszące ulotki i inne osoby spacerujące w okolicach osiedli mieszkaniowych. Zwracajcie uwagę na małe kolorowe NALEPKI przyklejone do drzwi

i bram wjazdowych. Gangi używają ich do oznaczania, ile psów mieszka w domach. Zwierzęta są potem kradzione i wykorzystywane w WALKACH PSÓW. Jeśli zauważycie jakąkolwiek, natychmiast dzwońcie na policję i poinformujcie o tym właścicieli domu. Natychmiast usuńcie naklejki! Czerwone naklejki oznaczają duże psy, żółte oznaczają średnie, różowe to najmniejsze gatunki. Proszę, podziel się tą informacją i uratuj swojego psa! To się już dzieje w Goole w okolicach Yorkshire i najprawdopodobniej rozprzestrzenia się na cały kraj. To jest obrzydliwe”.

Cytowany tekst wywołał oczywiście ogromne poruszenie. W pewnym momencie sprawa nabrała takiego rozgłosu, że oficjalne oświadczenie zdecydowało się wydać biuro prasowe North Yorkshire Police. Jak się okazuje, wystraszeni mieszkańcy miejscowości Whitby zaczęli masowo dzwonić na lokalne posterunki policji, informując tamtejszych funkcjonariuszy o tajemniczych nalepkach na oponach ich samochodów. Po przeprowadzeniu krótkiego śledztwa okazało się, że są one umieszczane w warsztatach samochodowych, a nie przez bezwzględnych organizatorów walk psów. „Czerwone i żółte kropki na oponach umieszczane są przez ich producentów. Czerwone oznaczają cięższe, natomiast żółte lżejsze fragmenty opony. Znaki nie są dziełem złodziei psów” – tłumaczyli brytyjscy stróżowie prawa. W tym samym czasie północnoirlandzka policja zapewniała, że na jej terenie również nie zaobserwowano wzmożonej działalności złodziei psów. Więcej światła na pochodzenie tekstu rzuca strona snoops.com. Jak się okazuje, zaledwie miesiąc wcześniej identyczny tekst krążył wśród mieszkańców przedmieść australijskiego Perth. Oczywiście po drugiej stronie globu władze również nie zanotowały wzmożonej działalności złodziei psów.

POKÓJ MODLITW

Jak widać, miłość do zwierząt, z której w końcu Brytyjczycy słyną na całym świecie, jest wystarczającą pożywką, żeby mógł

się na niej rozprzestrzenieć mem. Ostatnio jednak po Zjednoczonym Królestwie zaczęła krążyć historia, która najwyraźniej odwołuje się do zupełnie innych uczuć. Ta plotka narodziła się mniej więcej na początku tego roku, kiedy władze Wielkiej Brytanii zapowiedziały wprowadzenie tzw. Bedroom Tax. Sam „Bedroom Tax” tak naprawdę nie jest podatkiem, a raczej ograniczeniem dopłaty do mieszkań, w których znajdują się niewykorzystane pokoje. Rząd Davida Camerona chce w ten sposób zaoszczędzić kilka procent z 23 mld funtów, które corocznie wydawane są na Housing Benefit. Nowe prawo zaczęło obowiązywać w kwietniu tego roku. Zanim to się jednak stało, w internecie zaczęła krążyć informacja, że z „sypialnianego podatku” zwolnieni zostaną muzułmanie, którzy swoje niewykorzystane izby zgłaszają w gminie jako pokoje do modlitwy. W pewnym momencie plotka nabrała takiej mocy, że do władz gminnych w różnych rejonach kraju zaczęły napływać listy z zapytaniami o to, czy taka ulga dla muzułmanów rzeczywiście obowiązuje. „Niestety, to jest coś, co od czasu do czasu wypływa na powierzchnię i musimy chyba zapytać o intencje osób, które takie informacje rozpowszechniają. Mogę zapewnić czytelników i Christera, że takie coś nie ma miejsca. Zgodnie z posiadanymi przez nas danymi nikt nie składał u nas wniosku o redukcję [Bedroom Tax] ze względu na posiadanie pokoju przeznaczonego do modlitwy” – zapewniał na łamach lokalnej gazety „Burnley Express” Philip Mousdale z rady miasta Burnley.

Prawda jest oczywiście taka, że żadnej ulgi na pokój do modlitwy dla muzułmanów nie ma. Tak jak w mitach o czarnej wołdze i o trupim pociągu, mało prawdopodobna plotka żeruje tu na jak najbardziej prawdziwych obawach konkretnej grupy społecznej. W tym przypadku chodzi o lęk przed coraz liczniejszą mniejszością z krajów muzułmańskich. Właśnie dlatego warto dokładniej przyglądać się miejskim legendom. Po prostu zawierają znacznie więcej prawdy, niż nam się wydaje. Prawdy o nas samych.

Autor: Jakub Jan Ryszko

Źródło: [eLondyn](#)